



Tamara Bołdak-Janowska

Ku życiu prawdziwemu. 1.

W tym roku byłam gościem Wiejskiego Teatru Węgajty. Co roku małżeństwo Sobaszków organizuje ośmiodniową międzynarodową wioskę teatralno-warsztatową. Coś niebywalego! I była obecna białoruskość.

Najpierw było „Wesele” Wyspiańskiego”, w reżyserii Wacława Sobaszka, a w spektaklu jako aktorzy wzięli udział również pensjonariusze z DPS w Jonkowie. Świetny popis gry aktorskiej dała żona Wacława, która z powodu trudnego do zapamię-

tania niemieckiego imienia Erdmute nazywana jest Mutką. Weselny korowód wraz ze słowami Wyspiańskiego, ze skromnymi rekwizytami, maskami, rzeźbami, żywą muzyką akordeonową mocno zabrzmiał, mocniej niż w filmie Wajdy „Wesele”, ponieważ odbywał się poprzez ograniczenie formy i poprzez związanie go z życiem – pensjonariusze DPS swoje wesele mieli już dawno temu, a teraz – biorąc udział w przedstawieniu – przeżywali je jeszcze raz. Dokonało się tu coś, co Jolanta Brach-Cza-

ina określiła w szkicu o etosie nowej sztuki następująco: „Dziś sztuka wypadła przez okno i dotknęła prawdziwego życia”. Bezsprzecznie jest to racja, to znaczy dziś coś, co nie dotyka bezpośrednio życia, nie ma prawa nazywać się sztuką. W takich warunkach popkultura jest po prostu narzucaniem pustego bębnienia. Wszelka komercja jest narzucaniem pustego bębnienia. Powiem też, że polska komercja zaczyna katolicyzować kulturę, na przykład Bromski w filmie „U Pana Boga za piecem” skatolicyzował

Królowy Most! Tam nie ma kościoła, tam stoi przepiękna cerkiew! A sam Królowy Most to nie jest miasteczko. No tak, nie wiadomo, co zrobić z tymi kacapami, którzy jeszcze żyją. Żyją, ale w filmie nie za bardzo. Nie ma tam języka białoruskiego, którym ludzie gadają w Królowym Moście. Czy szanowny reżyser mógłby bardziej związać się z prawdziwym życiem?!!! Wskocz pan wreszcie przez okno, dotknij prawdziwej ziemi! Kolorowości kulturowej pan dotknij. Nie hoń pan monolitu wyznaniowo-narodowościowego do cholery, bo to już normalnie wstyd dla kultury! Inne filmy, również seriale, ignorują etniczną barwność Podlasia, i również je na siłę katolicyzują!

Poruszający był jednoosobowy spektakl na scenie Teatru Węgajty, w wykonaniu Martina Frysa z Czech, w reżyserii Jany Pilatovej. Martin Frys nie ma rąk, to znaczy urodził się z niewykształconymi rękami, są krótkie, jak nasze do łokci, mają po parze palców. Tymi szczątkowymi rękami Martin zagrał Don Kichota. Użył skromnych rekwizytów. Stół, taboret i ręce, uwiecznione w miotle jak w skale. Miotle poprawiał włosy, bo ona w jego twórczych rękach grała też Dulcyneę. W pewnej chwili, gdy miał wpisane w miotłę swoje kalekie ręce, zobaczyłam w nim bezrękiego Chrystusa Chagalla.

W wiejskiej przestrzeni wszystko słychać mocniej. Przerzucamy się ze sztuką na wieś. Żywa kultura opuszcza miasto, bo źle znosi masowy nakład, masową widownię. Musi się uśredniać, aby stawać się „dla wszystkich”. Dla wszystkich? Co za pomyłka. Nie mogę chodzić nawet w pantoflach „dla wszystkich”, a tu sztuka ma być „dla wszystkich”? A po co? Dzieło musi być perfekcyjnie komercyjne, bez nowatorstwa, eksperymentu? Nudne, poprawne, „dla wszystkich”? Nudy, nudy.

W Teatrze Węgajty uwzględniony zostaje człowiek utalentowany, jako autor i jako odbiorca. Kultura komercyjna, pozostająca w tyle za życiem,

nie dopuszcza udziału osób niepełnosprawnych, choćby były utalentowane! Wyrzuca także talenty na margines ze względu na wiek!

Rozmawiałam przez chwilę z dziećmi uchodźców czeczeńskich. Dzieci, zaproszone przez Teatr Węgajty, w gimnazjum w Jonkowie wystawiły czeczeńskie bajki o trzech braciach i ich siostrze, pt. „Opowieści z doliny Terek”. Mój mąż mówi: dzięki tobie przeszedłem szkołę feminizmu, babiskości, i widzę, że ta siostra traktowana jest jednak jak przedmiot.

Siostra pokochała chłopca, a wydali ją za innego, a ten inny odesłał ją do tego, którego kochała, ponieważ chciał jej dobra. Ten, którego kochała, nie chciał być gorszy i odesłał ją do męża. Na tym polega przecież honor czeczeńskiego mężczyzny.

Spektakl być zrobiony sprawnie, przyjemnie, jak to bajka. Jednak temat siostry i dla mnie okazał się nie do przełknięcia. Zapewne w tamtej kulturze takie podawanie dziewczyny z rąk do rąk ze względu na honor mężczyzny było zarazem cackaniem się z uczuciem dziewczyny. Postanowiłam, że przez chwilę porozmawiam z dziećmi o życiu.

Rozmowa mnie przygnębiła. Piękne dziewczynki nie mają ojców. Pytam, czy zginęli. Słyszę: ojcowie zaginęli. Gdzie są, nie wie nikt. Czy żyją? Też nie wiadomo.

Strasza, stała wiadomość.

Pytam, czy w Polsce są szczęśliwe. Tak, są, bo tu nie boją się o życie. Mieszkają w domu dla uchodźców w Warszawie, na Bielanych.

Chłopcy przebiegali się w tym czasie, więc z nimi nie rozmawiałam. Potem jednak, w czasie luźnej rozmowy z aktorami teatru „Krzyk” z Maszewa, była mowa o tych chłopcach, o jednym z nich. Dowiedziałam się, że jeden z chłopców grał niemo, siedząc z boku. Nie miał nóg. Wojna zabrała nogi temu chłopcu. Zabrała też mu rodzinę. Ja go nie zauważyłam. Nie zauważyłam jego niemej gry czy też towarzyszenia spektaklowi tak właśnie: nie w centrum.

Spektakl „Wydech” (na scenie Teatru Węgajty), w wykonaniu teatru „Krzyk” (reżyseria Marka Kościółka) z miasteczka Maszewa uznaję za rewelację. Mówię to w sytuacji, kiedy po Pinie Bausch nie jestem w stanie oglądać dosłownie niczego, nawet profesjonalnej sceny naszego Teatru Jaracza. Ostatnio oglądałam „Wesele u drobnomieszczan” Brechta, tak wykastrowane z Brechta, że aż strach. Zamiast songów Brechta były „Hej, sokoły”! Przecież to łatwizna. Przecież to wyciśnięcie Brechta z dramatu! Tak, ale tu chodzi przecież o komercyjną gładkość, o rozrywkę. Profesjonalne sceny nam się zdegenerowały! Biorą liche teksty, a jeśli już wezmą dobry, dojrzały tekst, to mu obechną skrzydła, a bo ma być „dla wszystkich”. Idźcież wy wszyscy do cholery z tą swoją uśrednioną nowoczesnością. Brecht i „Hej, sokoły”! Bardziej Brechta uszkodzić się nie da.

Spektaklu „Wydech” opowiedzieć nie sposób, w tym sensie, w jakim nie można opowiedzieć spektakli Piny Bausch, ani Kantora, ani Piwnicy Pod Baranami. Opis spłyca, spłaszcza. Dziennikarze głądzili, że to spektakl o braku ojca, o relacjach z ojcem, o relacji ojciec-syn. Nie. To wolnościowy spektakl. Dramatyczny. Ojciec to nie tylko ojciec rodziny, to także patriarchalny element obrazu naszej kultury. Znowu skromne rekwizyty. Aktorzy byli połączeni z klawiaturami komputerów i wciąż już na wstępie w sieć wszystkich, wchodzących widzów – okrzykiem „Mam go”, „Mam ją”, i opisywali wygląd, ubiór, twarz danej osoby. Weszliśmy w spektakl. Byliśmy w nim – otoczeni, choć to my otaczaliśmy scenę. Dziennikarze próbują podobne wydarzenia sceniczne streszczać, jakby miały to być jakieś kryminały albo telenowe. Weźcie się do właściwej roboty, koledzy, wypasieni reklamami w gazetach.

Tego się nie robi dla sławy i pieniędzy. To się robi po to, aby coś ważnego przekazać o naszych czasach.

Cdn